ROZMAITOŚCI.

We Czwartek Nro. 125. 31. Października 1822.

Blondyn z Namiur.

(*Ciąg dalszy.*)

Sen.

Był to sen prawdziwie nie na swoiém mieyscu; iednakże mimo wszelkich usiłowań nie mógł mu się oprzeć nasz poczciwy le Blond. Gdy się nakoniec obudził, czyli myślał że się obudził, było iuż daleko na dzień. Przecierał sobie oczy i długo wierzyć im nie chciał. Spoczywał na bogatém posłaniu, a przy łożu usłane były przepyszne kobierce. Pokóy iego sypialny ozdobiony był meblami mahoniowemi, i zwierciadłami stoiącemi, na ścianach wisiały naypięknieysze obrazy oleyne, wystawiaiące bowiększey części potęgę i pustoty bożka miłości; na stole w porcelanowych wyzłacanych wazonach, iaśniały różnofarbne kwiaty, rozléwaiące przyiemny zapach w około.

Z trudnością przyszło dobremu Blondynowi przypomnieć sobie przeszłość. Słabo tylko pamiętał o kominku w domu leśniczego, o zwaliskach w Valerien des Anges, o Abubekirze, czytaiącym przy świetle latarni z iakieyś mistyczney książki. Porwał się z łoża, i chciał iść szukać Chaldeyczyka.

Na odgłos iego stąpania, otwarły się drzwi; wszedł służący w liberyi bogato złotem tkaney, zbliżał się pocichu na palcach; za iego skinieniem weszło dwóch innych służących, a za niemi, iakiś podeszły w lata człowiek, który nie mówiąc ani słowa, wziął Blondyna za puls, i natychmiast dał mu zażyć mocnych iakichś kropli.

»Niepotrzeba« odpowiedział Blondyn z żywością, »to prawda, żem ieszcze nie zupełnie wyszedł z odurzenia, alem zdrów.«

Lékarz kiwnął głową mówiąc: »Zaklinam Waszą Xięcą Mość, racz zażyć tych kropli. Uczynią W. X. Mości wiele dobrego.«

Le Blond z zadziwieniem spoyrzał na lékarza, i prosił, aby go nie męczono lékarstwami, poczém pytał się o Abubekira.

Przytomni spoyrzeli po sobie, i można było wyczytać z ich twarzy, że go mieli za waryiata. Nakoniec odezwał się lékarz: »Jaśnie Oświecony Xiażę, racz mi powiedzieć, kogo rozumiesz przez Abubekira?«

»Ah! czyliż nie wiecie, tego przeklętego Chaldeyczyka, który tu razem zemną wcoray przyiechał.«

»Wasza Xięca Mość bawisz tu iuż od kilku dni, i przybyłeś w towarzystwie Xiężny Pani, małżonki W. X. Mości.«

»Ja? z małżonką? z xiężną? od kilku dni? — Moi panowie, bardzo was proszę, przestańcie tych żartów i śmiésznych tytułów; a lepiéy, pozwólcie mi wstać i ubrać się. Gdzież są moie suknie?«

Służący i lékarz spoglądali na siebie z niepewnością, nakoniec wszyscy razem ośmielili się prosić go iak nayuniżeniey, ażeby przynaymniey raczył spokoynie leżeć w łóżku, pokiby nie zasięgnęli roz-

)(

kazów Xiężny Jéymości. Jeden z służących oddalił się. Byli to powiększéy części starzy ludzie. Blondyn rozumiał z początku, że wszyscy poszaleli, a nakoniec domyślał się, że to iest żarcik Abubekira. Spytał się ich, czy są ieszcze w Valerien des Anges.

»Wasza Xięca Mość iesteś w swoim letnim pałacu w Charmes, dla poratowania zdrowia swego,« odpowiedział ieden z służących.

Wkrótce potém służący od Xiężny powrócił, z rozkazem ubrania Xięcia.

»Racz Wasza Xięca Mość powiedzieć« rzekł ieden z służących, »co każesz sobie do ubrania narządzić, czy suknie swoie poranne, czy ubiór myśliwski, czy mundur.«

»Nic z tego wszystkiego« odpowiedział le Blond. »Proszę was bardzo, niechże iuż raz żart ten się skończy; oddaycie mi moie suknie.«

Przyniesiono ubiór; sukno na nim było naypiekniejsze i bardzo drogie. Na gładkim szafirowym fraku po prawéy stronie przyszyta była gwiazda orderowa. Już teraz tracił Blondyn cierpliwość. Domagał się sukien swoich z gniewem i głosem rozkazuiącym. Przelękli się wszyscy, i tylko doktor miał tyle śmiałości, iż upraszał go iak naypokorniéy, ażeby raczył się nie gniewać, gdyż zbytnie wzruszenie mogłoby mu być powodem recydywy; ieżeliby zaś chciał ubrać się w inne suknie, byłby natychmiast usłużonym. Le Blond poddał się swemu losowi, w nadziei, że raz ubrany zaraz znaleźć potrafi Chaldeyczyka. Służycy na wyścigi pomagali mu do ubrania się czém prędzéy; do umycia; na śrébrnéy miednicy i w śrébrnym kubku przynieśli wody pachniącéy; poczém w chińskiéy porcelanie zastawili śniadanie, prosząc go, ażeby się posilić raczył.

Blondyn iadł i pił gorliwie. Wszystko mu obcém i nadzwyczayném było. Takiéy wspaniałości nigdy ieszcze w życiu nie widział. Przystąpił do okna, przekonał się, że iest w starym, wysokim zamczysku, z którego okien kratą żelazną umocnionych, rozchodził się widok na las w wielu mieyscach poprzerzynany.

»Jak daleko z tąd Namiur?« Nikt o tém nie wiedział. Dopytywał się kilkakrotnie o Pana Abubekira, opisywał na tysiąc sposobów swego Chaldeyczyka, opowiedział co wiedział o nim, a między innemi, że iuż ma trzysta dwanaście lat.

Służący ruszali ramionami. Doktor zaś śmiało powiedział, że nigdy podobnéy figury w zamku nie widziano; iednakże z powodu trzechset dwunastu lat, wziął prędko naszego Blondyna za puls.

»Moi panowie« rzekł nakoniec le Blond z gniewem, »albom ia oszalał, albo wam czegoś brakuie, bo widzę i czuię że czuwam. U kogoż tu iestem?«

»Już mieliśmy raz zaszczyt powiedzieć Waszéy X. Mości, że iesteś w własnym zamku w Charmes z małżonką swoią.«

»Ja z małżonką? Moi panowie, niechcieycie dłużéy bawić się moim kosztem. Nigdy nie miałem żony. Gdzież więc iest ta moia mniemana żona?«

»Kiedy Wasza X. Mość tego żądasz, uprzedziemy Xiężną Panią, o téy iego naywyższéy woli« odezwał się trzeci służący, i odszedł.

Blondyn chciał za nim wyyść z pokoiu, ale się pomiarkował, że ieszcze iest w pantoflach, kazał więc dać sobie bóty.

W tém ieden ze służących głośno otworzył drzwi, i zawołał: »Jaśnie Oświecona Xiężna.«

(Dalszy ciąg nastąpi.)

O Słoniu.

(Ciąg dalszy.)

Wielkie na słonie polowanie w Siam, podobne woiennéy wyprawie. Za wyrokiem królewskim wyprowadza-

ią w las kilka ułaskawionych samic. W tym lesie niezmierna przestrzeń pola otoczona mocnemi palami tak gęsto, iż tylko co człowiek pomiędzy nie przemknąć się może; wysadzona też i ulica w tém polu z takichże palów, na wstępie széroka, a coraz daléy tak się zcieśniaiąca, iż w końcu nie szérsza, iak na przeyście iednego słonia. Niekiedy ieżdżą na samicach pokryci chrustem Indyianie, i przywabiaią tym sposobem mnóstwo słoniów w to do polowania mieysce; a dopiéro przybywa Król licznym na samych tylko słoniach otoczony orszakiem. Za przybyciem Monarchy, zaczynaią Indyianie drażnić słonie; w niebezpieczeństwie chroniąc się za palami. Drażnią tak długo, aż rozgniewany goniąc Indyianina wbieży w ową wązką ulicę. Tu zapada nagle z przodu i z tyłu słonia potężna zasuwa. Okropnie miota sobą poymany, lecz tuż wszyscy go otaczaią, zléwaią wodą, głaszczą i krępuią mu nogi. Oswoione słonie wyciągaią przez pale swoie trąby do dzikiego, nieiako z przymileniem i zachęceniem aby się ułagodził. Nakoniec podnoszą zasuwę przednią, a gdy tylko z klatki téy wyydzie, otaczaią go cztéry obłaskawione, niby werbownicy zwerbowanego, któremu atoli nie szczędzą dotkliwych zębami razów, ieżeli z niemi połączyć się i iść nie chce. Bramin skrapia święconą wodą tego rekruta, który w kilkanaście dni zupełnie się oswaia. Doły, sidła, nadpiłowania u dołu drzew, strzały i broń ognista, są sposoby łowienia lub zabiiania słoniów.

Nie spodziéwam się unudzić ciekawego czytelnika wiadomością o polowaniu Naboba z Oudy, Assup Dola, wyiętą z rzetelnego doniesienia naocznego świadka.

Nabob wyruszył na to polowanie ze 40,000 ludzi, między którymi 10,000 piechoty, 1,000 zaś konnicy liczono; a 20,000 źwiérząt, z których 1,300 samych słoniow, reszta koni, wołów, wielbłądów do pociągu 3,000 wozów i 150 dział. Nie przepominaiąc żón Naboba, z niewieścią ich świtą w krytych powozach; tak małych iak dużych bryk, które 30 do 50ciu wołów ciągnęło; o mnóstwie domowego źwiérza i ptactwa, tanecznic, skoczków, śpiéwaków, figlarzów: słowem, wszystko tu się znayduie, co tylko potrzebném być może, do przetworzenia od razu mocą niby czarodzieyską dzikiéy puszczy, w ludne i zbytków pełne miasto. Sam tylko proch, kule i ręczną broń 500 dźwigało drągarzy. Po ubiciu tygrysa, zoczono w dużey stepie dzikiego słonia. Nabob polowania na słonie namiętny miłośnik, wydaie wnet rozkazy otoczenia go cztéromaset słoniami w dużém kole, i te zwolna coraz zcieśniać każe. Dopiero, gdy koło nie było szérsze iak na 150 sążni, zdał się uważać dziki słoń czynione zabiegi, na które okazał podziwienie, lecz bez naymnieyszéy boiaźni. W tym stanie puszczono nań dwa słonie, których dzikości i sile żaden z reszty nie wyrównywał. Wszczęła się straszliwa walka, w którey dziki obudwóch do ucieczki zmusiwszy, zwycięzcą został. Po zniweczonym tym kroku, zbliżyły się doń naymocnieysze samice, maiące tak usposobione liny, aby się ów dziki zadziergnąć i złapać mógł. I ten środek był bezowocny, porwał liny, a żadna samica nie zdołała wytrzymać iego natarczywości. Gdy tak wszelka nadzieia znikła złapania go żywcem, Nabob wydał śmierci wyrok. Więcéy iak sto wystrzałów trafiło go naraz, lecz słoń mało na te zważaiąc uchodzić nieprzestawał. Nieustannie strzélano nań ze śmigownic dość sporemi kulami. Pokazały się nareszcie rany, lecz żadnéy nie uważano śmiertelnéy. Aby mu nie dano uyść, uderzył na zranionego oddział konnicy, i mocno go posiekał pałaszami, ale i ón nie przebaczał, położył z nich wielu trupem, a więcéy ieszcze ranił w walecznym odporze.

Nakoniec po tysiącznych wystrzałach, i nieprzeliczonych pałaszami cięciach, zdał się słabieć z powodu uszłéy

)(2

krwi; postępował iuż zwolna z pewną oboiętnością oczekuiąc nieiako śmierci. Wtedy bez niebezpieczeństwa a z dziką tyraniią i zimną krwią, podcinała mu konnica żyły u nóg tylnych pałaszami celem obalenia go. Zachwiał się nakoniec potężny ogrom, i obalił się nie wydawszy naymnieyszego głosu; a wlepiwszy omdlałe oczy w swoich katów, powstać ieszcze usiłował, ale tylko dla tego, aby znowu upadł i życie skończył. Z tryumfem powrócił Nabob do swoiego namiotu, iak gdyby świetne iakie odniósł zwycięztwo, gdy w istocie ta okrutna scena niczém więcéy nie była, iak obmierzłą walką mnóstwa z iednym.

Lecz są w Indyiach i takie kraie, w których słonie w wielkiém poszanowaniu, podobnych okrucieństw nie ciérpią. Owszém tych kraiów mieszkańcy maią białego słonia za nienaruszoną świętość. Królowie onych przenoszą tytuł pana białego słonia nad wszystkie inne, a nie rzadko i krwawe woyny o to ztaczali. Takiemu słoniowi poruczaią nayznakomitsze urzędy państwa, które ón tak właśnie piastuie, iak koń Kaliguli, nadaną sobie od tego szaleńca godność konsula. Miészka w pysznym pałacu, a iedzenie podaią mu Mandarynowie w złotych naczyniach. Wyprowadzany postępuie pod baldachimem, a do napawania nie inaczéy, iak tylko przy odgłosie licznych trąb. Za te wszystkie honory i bogaty ubiór, ten ieden ma tylko obowiązek, że niekiedy oddaie hółd uszanowania Królowi, z czego mu się Monarcha ten nie bez szczególnieyszego poważenia wywięzuie.

(Dokończenie nastąpi.)

Rzeczy rozmaite.

Z Odessy. (*Ciąg dalszy.*) — Liczba mieszkańców składa się z Rossyian, Greków i żydów. Między rzemieślnikami znayduie sie wielu Niemców. Bogatymi kupcami są Francuzi, Anglicy i Włochy. Chociaż ulice Odessy dosyć są szerokie, wszelako ludność miasta handlowego tłoczy się przez nie w różnobarwnych grupach. Włochy, Francuzi i Rossyianie ostatni w europeyskim i w narodowym ubiorze, polscy i wschodni żydzi, pierwsi czarno a drudzy pstro ubrani, Grecy i Ormianie to w zad to w przód chodzą lub biegaią. Stanąwszy na wielkim rynku, na ktorym żywność przedaią, zobaczysz kolonistòw i ich żony z różnych niemieckich okolic, tudzież Bulgarów, Cyganów, polskich i ruskich wieśniaków, iakto łatwo po odmiennych sukniach wieśniaczek poznać można. Przedaią i kupuią, mówią różnemi ięzykami, z których wszelako nayhardziey używanym iest rossyyski, ten wszystkie inne przewyższa.

Port graniczy bezpośrednio z miastem, ponieważ tylko zakład Kwarantanny oddziela go od miasta. Z wysokości, na którey miasto zbudowane, poglądaiąc ku portowi, widać w dalekiem panoramie okręty, mieysce wylądowania koło Kwarantanny, domy i pomieszkanie w teyże, a nareszcie rozległe morze. Różnobarwne bandery powiéwaią na okrętach, a maytkowie różnych narodów przechadzaią sie gromadnie. Szczegolną rozmaitość życia w Odessie określę opisaniem dnia biegu.

Gdy wstałem rano, przybył do mnie naprzód golarz, Grek, z niezmierną misą; nie chciał na to przystać, ażebym siedział na moiém zwyczaynem krzesełku, posadził mnie nisko na dywanie, lewą ręką obiął całkiem moię głowę, ważył ią to na prawo, to na lewo ku swoiemu kolanowi, koniec końcem, obchodził się z nią w sposób prawdziwie wschodni, to iest, lekkomyślnie. Tymczasem z całą grzecznością francuzkiego posługacza przyniósł mi markier francuzki śniadanie, do tego afisz teatralny i gazety. Ukończywszy śniadanie i napiwszy się likieru, ubrałem się i wyszedłem, ażeby z ciekawości pooglądywać wszystkie ulice, co podróżuiącemu darować można.

(*Dokończenie nastąpi.*)

Z Włoch. — List prywatny pisany z Wenecyi pod d. 13 Października donosi, że téy saméy nocy umarł tamże równie szacowny, iak sławny artysta, Margrabia Antoni Kanowa. Trudno opisać, iak wielki żal téy nienagrodzoney straty dla sztuki opanował umysły wszystkich tamecznych mieszkańców. Po wszystkich domach i ulicach, tylko o nim mówiono, bo go każdy oświecony człowiek w Wenecyi znał osobiście, bo tam prawie zrósł i dopiął sławy wielkiego artysty.

Redakcyia F. Krattera. — Drukiem J. Pillera.